

Zbigniew Masternak

## Listonosz zwycięstw

Mój ojciec zawsze powtarzał, że list nigdy nie jest tylko papierem. W latach osiemdziesiątych poczta była czymś więcej niż urzędem. Była oddechem ludzi, którzy nie mogli krzyczeć głośno, więc szeptali do siebie w listach.

Na zapleczu pachniało mokrym papierem, kurzem i pastą do podłogi. Z sufitu wisiła lampa z zielonym kloszem, która czyniła zimowe poranki jeszcze zimniejszymi. Ojciec wstawał o piątej. Budzik brzęczał jak rozregulowany telegraf, a on, nie budząc nikogo, parzył herbatę w szklance z metalowym koszyczkiem i ruszał do urzędu. Miał swoją ławkę przy sortowni, swój gumowy stempel i datownik, a także jutowe worki wytarte do nitki. Znał każdą ulicę i każde nazwisko, a jednak w rejestrach zdarzały się osoby, które istniały tylko wtedy, gdy przychodził do nich list.

W sierpniu 1980 roku do okienka przyszła kobieta z rękami czerwonymi od detergentu. Poprosiła o blankiet przekazu, „bo w stoczni strajkują, a siostra w Gdańsku coś mówiła, że trzeba wspierać”. Ojciec podał jej druk i, jak opowiadał, pierwszy raz zobaczył, jak w kolejce ludzie podają sobie wzrokiem odwagę. W te dni przez urząd przelatywały kartki z odręcznie przepisanyymi postulatami, niekiedy jakby niechcący zostawione na ladzie.

A potem przyszedł grudzień 1981. W telewizji milczały programy, na ulicach – czołgi, a u nas w mieszkaniu cisza cięższa niż śnieg. Ojciec miał służbową przepustkę, więc czasem szedł do pracy przed świtem, kiedy miasto wyglądało jak źle wywołana fotografia. „Dzisiaj przyszło dużo paczek z zagranicy” – powiedział któregoś wieczoru. „Kawa, czekolada, konserwy. Ludzie płakali na widok tego, że ktoś za granicą o nich pamięta”. Nie mówił o polityce. Mówił o paczkach. O tym, jak zwyczajna puszka kakao stawała się dowodem, że świat nie zapomniał.

Bywało, że nie wracał na czas, bo żołnierze zatrzymali go na rogu i kazali otwierać torbę. Któregoś razu przetrząsnęli każdą przesyłkę, jakby szukali w nich krzyku. Ojciec nie działał w podziemiu, nie drukował ulotek. Miał jednak w głowie mapę tajemnych skrótów i sposobów, dzięki którym to, co miało dotrzeć, docierało. Kiedy ktoś wysyłał list do internowanego syna, przyjmował go bez słowa i stemplował z namaszczeniem, jakby odbijał pieczęć na chorągwi. Wiedział, że cenzor zatrzyma niektóre koperty. A jednak wciąż stawiał datę, równo z marginesem. „Niech w ewidencji zostanie ślad, że ojciec pisał” – mówił.

Raz przyniósł do domu rozdartą paczkę – „otwarta w kontroli celnej”. W środku – plastikowy samochodzik na baterie, z rozerwanym kabelkiem. Naprawił go lutownicą, owinał gazetą, zapakował z powrotem. „Niech chłopak ma” – powiedział i odesłał paczkę, jakby nic się nie stało.

Na poczcie krzyżowały się trasy ludzi i rzeczy. Emerytki przychodziły po renty, wymieniały przepisy na piernik i adresy wnuków. Studenci wypisywali druczki szybciej,

niż wysycał atrament. Pan w szarym płaszczu, który zawsze stał dwa metry od okienka, czytał ogłoszenia z uwagą, jakby szukał w nich cudzych pomyłek. Ojciec rozpoznawał takich od razu. „Czasem bardziej nas kontrolują, kiedy udają, że niczego nie kontrolują” – mruzczał.

Wieczorami słuchaliśmy zakazanych kaset. Z głośnika szeleścił głos, który śpiewał o murach. Matka ściszała, gdy na klatce skrzypnęły drzwi. Ojciec wtedy przykładał palec do ust i uśmiechał się krótko, jak listonosz, który wie, że list dotrze, ale nie może tego obiecać. W kuchni leżały kartki na cukier i mięso.

Najbardziej pamiętam dzień, gdy ojciec przyniósł awizo do mieszkania, gdzie mieszkała aktorka z małego teatru. W paczce były kostiumy z domowego „teatru salonowego”, kilka masek, scenariusz – maszynopis ze zjeżdżającą w bok literą „e”. „Będą grać w mieszkaniu, po cichu” – powiedział. Parę wieczorów później widziałem przez szparę w drzwiach próby: szept przechodzący w półgłos, śmiech tłumiony jak zapałka palcami. Ojciec siedział w korytarzu, gotów pobiec na dół, gdyby ktoś zapukał.

Był rok 1984, kiedy razem z nim segregowałem w domu znaczki. Opowiadał mi o krajach widzianych przez perforację: o statkach, które przyplływają do portów tylko na papierze, o ptakach, które lecą nad cenzurą. „Każdy znaczek to umowa – mówił. – Ty obiecujesz, że chcesz wysłać, państwo obiecuje, że doniesie. A ja po cichu obiecuję, że nie zgubię twojego słowa”.

Czasem wracał zziębnięty i milczący. Wiedział, które przesyłki „zaginą” w urzędniczej próżni. Umiał też, nie wiadomo jak, przyspieszyć listy, które powinny dotrzeć przed Wigilią albo przed narodzinami dziecka. Znał psy, które warczały tylko na Służbę, i furtki, które skrzypiały jak ostrzeżenie. Znał klatki schodowe po zapachu zupy, i ludzi – po sposobie witania się w proggu. W jego notesie, obok nazwisk, widniały maleńkie znaki: kropka – choroba, gwiazdka – samotność, kreska – „trzeba porozmawiać”. Ta mapa nie była do kontroli. Była do troski.

Gdzieś pod koniec dekady w urzędzie pojawiła się nowa maszyna frankująca. „Szybciej bije daty niż ja myśli” – śmiał się, ale i tak stary stempel trzymał w szufladzie jak relikwię. W tym czasie ludzie coraz odważniej podpisywali kartki: „Pozdrowienia z wernisażu”, „Dziękujemy za gazetkę”, „Do zobaczenia na mszy za Ojczyznę”. Kiedyś przyszedł chłopak w dżinsowej kurtce i wysłał gruby list do redakcji podziemnego pisma. Ojciec poprawił adres i powiedział tylko: „Niech idzie”. Potem przez kilka tygodni listy wracały z adnotacją „adresat nieznany”. „To znaczy, że znany aż za bardzo” – mruknął i zmienił trasę.

Wiosną 1988 roku, gdy znów zrobiło się głośniejsze w stoczniach i kopalniach, ojciec przyniósł do domu kopertę bez znaczka. „Zgubiła się po drodze” – wyjaśnił. W środku była fotografia – kilku mężczyzn z rękami uniesionymi w geście zwycięstwa. Na odwrocie: „Wyślijcie dalej”. Pamiętam, jak nakleiliśmy znaczek razem i jak pieczętka przecięła kadr w poprzek, nie robiąc im żadnej krzywdy. Potem fotografia wędrowała po mieście jak dobre zaklęcie.

Kiedy pytałem go, co było dla niego zwycięstwem tamtych lat, odpowiadał bez wahania: „Że listy docierały. Że mimo cenzury, mimo strachu, mimo wszystkiego – ludzie wciąż do siebie pisali. A dopóki pisali, nie dali się złamać”. Zwycięstwo nie miało dla

niego pomników. Miało grafik pracy, ciężką torbę i buty przemoczone po kolana. Miało też ciszę, w której otwiera się kopertę.

Czerwiec 1989 przyszedł jak święto ruchome. Ojciec roznosił zawiadomienia o głosowaniu i ulotki komitetów, które jeszcze niedawno nie mieściły się w oficjalnych rubrykach. Kiedy wrócił po pracy, położył na stole stosik kartek. „Widzisz – powiedział – to też listy. Tylko że tym razem to my piszemy do przyszłości”.

Po latach, kiedy otwieram skrzynkę pocztową i wyciągam rachunki, reklamy i rzadkie już kartki, czasem trafia się koperta o zapachu archiwum. Ktoś przysłał stary znaczek, ktoś odnalazł dawne zdjęcie. Wtedy wraca do mnie jego nauka: że papier ma pamięć, a pamięć – odwagę. Że zwycięstwa nie zawsze widać na pierwszych stronach gazet. Czasem są w drobnym druku, w marginesach, w datowniku przybitym równo z linią.

Ojciec już nie sortuje listów. Jego stempel leży w mojej szufladzie między pamiątkami, a jutowy worek służy za torbę na zakupy. Kiedy w deszczowy dzień wkładam do skrzynki pocztówki z wakacji – wciąż to robię, na przekór łatwiejszym przyciskom – czuję, jakby prowadził mnie za rękę. I myślę, że każda kartka, która dotarła, była małym zwycięstwem jego i tych wszystkich, którzy pisali, choć mogli milczeć.

Bo list nigdy nie jest tylko papierem. Jest drogą, którą się idzie mimo wszystko.